

Zofia Marczenko

Sygnatura notacji: **N1054**
Data urodzenia: **15.05.1925 r.**
Data nagrania: **18.06.2015 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Anna Klimowicz**
Czas nagrania: **53 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zofia Marczenko: Przeżyłam powstanie.

Anna Klimowicz: A kiedy pani się urodziła?

Zofia Marczenko: W 1925 roku, 15 maja. Tak że skończyłam 90 lat. Łapani, oni jeździli tymi samochodami, wyłapywali ludzi. Było dużo rodzin rozstrzelanych. Są tablice na niektórych domach. Do dzisiaj te tablice są.

Anna Klimowicz: Ale w pierwszych dniach września też było dużo nalotów, prawda?

Zofia Marczenko: Było dużo nalotów, tak. Dlatego człowiek, jak słyszał te syreny, to od razu do piwnicy schodził.

Anna Klimowicz: A ten dom, w którym pani mieszkała, z rodzicami, tak?

Zofia Marczenko: Ja mieszkałam z rodzicami wtedy, tak.

Anna Klimowicz: To wtedy we wrześniu jakoś został uszkodzony, czy mieliście tyle szczęścia, że nic się nie stało?

Zofia Marczenko: Był uszkodzony, tak. Był uszkodzony, zaczął się palić nawet. Myśmy wtedy musieli opuścić to mieszkanie, a było wolne mieszkanie... Bo była taka studnia, od Świętojańskiej dom, podwóreczko takie, łączyło się

z ulicą Piwną. I tam było mieszkanie właśnie i tam przenieśliśmy się do tego mieszkania. A jak były naloty, to oczywiście się wchodziło do piwnicy.

Anna Klimowicz: A czy pani ma jakieś rodzeństwo, czy była jedynaczką?

Zofia Marczenko: Nie, ja miałam trzy siostry. Mężatki, bo tak, w 1942 roku jedna z sióstr wyszła za mąż. Miała ślub w katedrze. Później w 1943 roku druga siostra wyszła, też w katedrze był ślub. I trzecia siostra też brała ślub w katedrze, tylko... Bo te brały tu, gdzie jest ołtarz Pana Jezusa ukrzyżowanego, a druga po drugiej stronie. Więc wszystkie trzy brały ślub.

Anna Klimowicz: I to w czasie wojny?

Zofia Marczenko: W czasie wojny właśnie. 1942, 1943, a w 1944 roku to moja siostra najstarsza brała ślub, to było... w kwietniu brała ślub, a w sierpniu było powstanie. I właśnie razem była... Mieszkała tam u męża na Krakowskim Przedmieściu. Może tak po kolei będę mówiła. Jak się zaczęło powstanie, to przez parę dni nasi chłopcy zajęli Zamek, który był zajęty przez Polaków, Zamek.

Anna Klimowicz: A pani mówi „nasi chłopcy”, a czy pani też była w konspiracji?

Zofia Marczenko: Nie, ja nie byłam w konspiracji. Ja mówię „nasi”, dlatego że siostry mąż był. Tak. Właśnie, jak był opanowany Zamek, to nawet tam ludzie chodzili i sucharki przynieśli, i tam jakieś takie szprotki pamiętam. Później te szprotki zostały, to każdy dostał jeden kawałek sucharka i jedną szprotkę.

Anna Klimowicz: Początek, to był taki nastrój, radosny, prawda?

Zofia Marczenko: Nie.

Anna Klimowicz: Bo wszyscy myśleli na początku, że się szybko skończy.

Zofia Marczenko: A, wszyscy myśleli, że się szybko skończy, ale te, bez przerwy były strzały, bez przerwy były właśnie te pociski, które się odbijały od góry.

Anna Klimowicz: A jak pani się dowiedziała o powstaniu w ogóle. Ten moment taki, pamięta pani ten dzień?

Zofia Marczenko: Pamiętam, tak. Już było tak, niespokojnie było, bo było... przed powstaniem było takie wezwanie do mężczyzn. Nie pamiętam, żeby się którego stawili na Starym Mieście. I wtedy...

Anna Klimowicz: Było wezwanie. Kto wzywał?

Zofia Marczenko: No Niemcy.

Anna Klimowicz: Niemcy. Do kopania?

Zofia Marczenko: Nie do kopania, tylko żeby się stawili na Starym Mieście, zbiórka jakaś tam. I właśnie, i dużo mężczyzn wtedy wyszło z Warszawy. Ja pamiętam mój ojciec wyszedł z Warszawy.

Anna Klimowicz: Żeby uciec, tak?

Zofia Marczenko: Tak. Później wrócił za jakiś czas. Ale dużo mężczyzn wyszło i w ogóle nie wróciło. Do tej pory nie wiadomo, co się z nimi stało. I właśnie, jak to powstanie się zaczęło, to był taki niepokój, widać było, że coś się będzie działo. Był tak niby spokój, bo tych Niemców nie było widać, ale coś było takie... każdy wyczuł. I później, jak się zaczęło, to przez parę dni, to nie było Niemców na Placu Zamkowym, nie było na Starym Mieście. A później zaczęli zajmować właśnie Zamek, tam bliżej Placu Zamkowego, później te domy po kolei. Było Świętojańska 13, to właśnie zaczęła... pociski, co raz to leciały pociski. Słysząc było takie strzały. I musieliśmy uciekać z tego. Ja byłam, moja mama była, siostra była... Mama była ze swoim wnuczkiem, 2 latka miał. Bo siostra nie zdążyła wrócić z pracy po niego, bo pracowała, tak że został z nami w piwnicy. A druga siostra z miesięcznym dzieckiem, w lipcu urodziła. I musieliśmy uciekać z tej Świętojańskiej. Dosłownie co parę ulic, to się wchodziło, gdzie były piwnice wolne. I tak cały miesiąc się tuliśmy po tych piwnicach.

Anna Klimowicz: A dzieci?

Zofia Marczenko: Proszę?

Anna Klimowicz: A co dzieciom dawaliście, na przykład nie wiem... było jakiś... napić się, jakieś jedzenie?

Zofia Marczenko: To siostra karmiła to maleństwo. A moja mama...

Anna Klimowicz: A ten 2-letni?

Zofia Marczenko: A ten 2-letni, to mamusia coś miała, jakieś tam sucharki, coś, ale to prawie... a woda, no to jeżeli była woda...

Anna Klimowicz: Czy woda była gdzieś?

Zofia Marczenko: Jeżeli gdzieś była woda, to się... Mama miała taki ronderek malutki i z tym rondelkiem wszędzie była. I właśnie gotowana w tym, jak była możliwość, gotowała jakiś ryż czy coś tego. Karmiła tego małego. I tak uciekaliśmy właśnie z piwnicy do piwnicy. To był cały miesiąc. Aż dotarliśmy do Miodowej. Miodowa przy Długiej, tak bliżej. I tam była ocalała taka dość duża piwnica. I tam właśnie dużo ludzi się mieściło w tej piwnicy. Pamiętam tak

po schodach się wchodziło w dół. Ta piwnica była dość duża, bo tam bardzo dużo ludzi było. Przez jakiś czas tam mieszkaliśmy w tej piwnicy. Aż 3 września, tak rano, Niemiec się znalazł i kazał wszystkim wychodzić z tej piwnicy. Więc wszyscy wychodzili z tej piwnicy. Aż wszyscy wyszli, to... I jakiś z zaułku wyszedł akowiec. Niemiec go zobaczył i strzelił na naszych oczach tego młodego chłopaka. Przed oczami mam go. Jak wszyscy wyszli, to Niemcy się znaleźli i nas prowadzili do Pruszkowa przez Warszawę, to musieliśmy dość długo iść, bo to już było tak przed wieczorem, jak doszliśmy do Pruszkowa. Tam była taka olbrzymia hala i tam wszyscy w tej hali czekaliśmy na rozwiązanie jakiegoś. Tam się przenocowało. Pamiętam, że jakieś...

Anna Klimowicz: A to już zimno było, prawda?

Zofia Marczenko: Tak.

Anna Klimowicz: Wiezorami, w nocy?

Zofia Marczenko: Tak, tak.

Anna Klimowicz: Jak ludzie byli poubierani?

Zofia Marczenko: Cienko, tak jak się wyszło z domu. Ja miałam spódnice, bluzkę miałam. I taką niedużą torebkę, a w tej torebce jakieś tam zdjęcie miałam, coś, takie drobiazgi. Moja mama też niewiele. Nikt nic nie miał. I szliśmy do tego Pruszkowa. Tam, w tym Pruszkowie, w tej hali siedzieliśmy i czekaliśmy. Tam się spało całą noc, a tak koło południa...

Anna Klimowicz: Ale tak na ziemi?

Zofia Marczenko: Tak. Cały czas na ziemi, w piwnicy też. I Niemcy przyszli. Kazali wychodzić po kolei, więc wychodziliśmy z tej piwnicy. Moja mama, z tym małym dzieckiem siostra tu na bok. Ja i moja siostra najstarsza i ten jej mąż, jego brat na drugą stronę. Jak tak wszystkich już posegregowali, to do pociągu, do tych wołowych takich pociągów krytych wszyscy wchodzili.

Anna Klimowicz: To po Pruszkowie, tak?

Zofia Marczenko: Tak, tak, tak. Wchodziliśmy do tego wagonu i to jeden przy drugim stał.

Anna Klimowicz: To właściwie tylko jedną noc spędziliście w Pruszkowie?

Zofia Marczenko: Jedną noc.

Anna Klimowicz: Jedną noc tylko.

Zofia Marczenko: Tak. W tym pociągu nie było tam miejsca na siedzenie.

Anna Klimowicz: To był taki towarowy pociąg?

Zofia Marczenko: Tak, taki kryty. Zamknięty był. Jeden koło drugiego stał, no, dosłownie nie było...

Anna Klimowicz: Nawet usiąść nie można było, tak było ciasno.

Zofia Marczenko: Tak, tak było ciasno. I przecież tam, ludzie nie wytrzymali, to...

Anna Klimowicz: A w ogóle wcześniej, jak tam w tym Pruszkowie się znaleźliście, to gdzieś właśnie była jakaś woda chociaż, czy coś do jedzenia dawali, czy nic?

Zofia Marczenko: Nie. Były... z jakimś kocem tam były panie. Tak i właśnie, już nie pamiętam, jak się właśnie... Były jakieś garnuszki czy coś, pewnie, tak. Bo wtedy w tym Pruszkowie to...

Anna Klimowicz: I w tym pociągu też, tak? Bez wody, bez jedzenia?

Zofia Marczenko: Bez niczego, jeden koło drugiego stał. Dosłownie było ciasno. I ktoś chciał się załatwić, to się załatwił.

Anna Klimowicz: Tak, normalnie, na podłogę.

Zofia Marczenko: Tak.

Anna Klimowicz: Po prostu na stojąco.

Zofia Marczenko: Tak. I to się jechało dość długo, bo wieczorem wysiedliśmy tam w tym... w Oświęcimiu. Z Pruszkowa do tego Oświęcimia. Tam wysiedliśmy, szliśmy przez całą właśnie bramę. I był taki budynek...

Anna Klimowicz: A ten moment, a Niemcy stali tak w bramie i...

Zofia Marczenko: No tak, z tymi karabinami i tak dalej, tak.

Anna Klimowicz: A psy mieli na przykład?

Zofia Marczenko: Słucham?

Anna Klimowicz: A psy mieli też?

Zofia Marczenko: Nie. Ale właśnie był taki budynek, to było już ciemno. I nikt nas tam nie przyjmował, nikogo nie było. Myśmy siedziały na tym... Mężczyźni poszli na inną stronę, a kobiety na inną. I tam na tej polanie, to była taka trawa, nie pamiętam, czy to była trawa, czy kamienie. W każdym bądź razie tam się siedziało, już było ciemno i tam spałyśmy na tym, pod gołym niebem. Dopiero rano otworzyli ten budynek... I tam Niemki były. Wchodziłyśmy tam do tego budynku. To, co kto miał, to wszystko, pierścionki, wszystko, wszystko dosłownie, torby, ubrania, na nagusa. A jeszcze one ścinały włosy, goliły te.

Anna Klimowicz: No właśnie. Ale czym? Miały nożyczki czy brzytwę, czy...

Zofia Marczenko: Chyba jakaś maszynka musiała być, bo to wie pani to dość szybko.

Anna Klimowicz: A to nie było tak gładko.

Zofia Marczenko: Gładko tak, ale byłam bez włosów w każdym bądź razie.

Anna Klimowicz: A miała przedtem pani długie włosy?

Zofia Marczenko: Tak. No wtedy, co miałam takie.

Anna Klimowicz: Aha, takie. Nie warkocze?

Zofia Marczenko: Nie, nie, nie, warkocze to miałam wcześniej jeszcze, jak do szkoły chodziłam, ale... I też zostałyśmy... one tam spisywały, numery i tak dalej. Już szczęśliwie, że nie było tatuażu żadnego, tych numerów. Dlatego, że już nie... było za dużo ludzi.

Anna Klimowicz: Za dużo ludzi.

Zofia Marczenko: Tak, z powstania, jak już przywozili, to już nie było tych, tych... tatuaży.

Anna Klimowicz: I tu byłyście dalej z siostrami, z mamą? Czy...

Zofia Marczenko: Nie, mama została.

Anna Klimowicz: Aha, została, z dziećmi.

Zofia Marczenko: Tak. Z dziećmi zostały, tak. A ja tylko byłam z siostrą, tą starszą.

Anna Klimowicz: Co się stało później z mamą i z dziećmi?

Zofia Marczenko: Mama wyjechała do Częstochowy, bo tam ktoś był z rodziny. Jakoś im się udało, jakoś tam różnymi drogami dostać się tam. A myśmy właśnie z siostrą trafiły do tego Oświęcimia. I była kąpiel. Pamiętam te prysznice jeszcze.

Anna Klimowicz: Takie okropne.

Zofia Marczenko: Nic nie było widać, była tylko szpara jakaś. Ta woda się lała na nas, a Niemcy ustawili się takim szpalerem pośrodku. Myśmy przechodziły między nimi. Już nagusa zupełnie, jak Pan Bóg stworzył.

Anna Klimowicz: Oni się śmiali, czy...

Zofia Marczenko: Ja już, wie pani, nie patrzyłam na ich miny, bo się bałam. Ale później doszliśmy do takiego miejsca, gdzie dawali te, buty te drewniaki i te pasiaki. I później znów na tą... prowadzili nas na tą... To była olbrzymia hala, gdzie były łóżka. Łóżka były... Ale ciekawie, bo w Oświęcimiu łóżka były drewniane i były tak, na szerokość, to była na wysokość człowieka, a długość, to była, ile się zmieści. Sześć nas leżało na takim łóżku. Łóżka były deski. Tylko deski, nic więcej. No i tak spałyśmy w tym.

Anna Klimowicz: Tak po prostu bez niczego.

Zofia Marczenko: Bez niczego, w tych sukienkach.

Anna Klimowicz: Ani słomy żadnej.

Zofia Marczenko: Nie, nie, nie. W Oświęcimiu nic, tylko na tych deskach.

Anna Klimowicz: Tylko gołe deski?

Zofia Marczenko: Tak, gołe deski. A później, no te... Ale to była olbrzymia hala właśnie, że były takie między tymi łózkami, to były takie przejścia, Niemcy sobie chodzili wieczorami. Można sobie wyobrazić.

Anna Klimowicz: Oni tak chodzi, żeby co? Zobaczyć, czy...

Zofia Marczenko: Pooglądać, ja wiem, no...

Anna Klimowicz: Pooglądać.

Zofia Marczenko: Tak.

Anna Klimowicz: A brali wtedy? Na przykład zdarzały się takie sytuacje, że komuś kazali, nie wiem, zejść z łóżka i...

Zofia Marczenko: Tak, tak, tak. Były podobno wypadki takie. Myśmy nie widziały tego. Tak nam się trafiło, że... Ja byłam tam najmłodsza, siostra była, później tam były jeszcze tam dwie takie młode i jedna była właśnie ze swoją teściową, a druga była... chłopaka to była matka. I te panie były starsze dla nas, były starsze, może miały wtedy koło sześćdziesiątki, a wtedy to się mówiło, że to już...

Anna Klimowicz: No tak, oczywiście.

Zofia Marczenko: Tak. I myśmy tak się trzymały. I one zawsze z brzegu gdzieś tam leżały, a my dalej. I... A później był ten... te garnuszki z tą zupą taką jakąś.

Anna Klimowicz: Niewiadomo czym.

Zofia Marczenko: Tak. I później były te apele. Te apele to były okropne, bo nieraz i w nocy się szło na te apele. I po paru dniach dostałyśmy taką pracę. Nas osiem wyciągnięto. I chodziłyśmy, to z Niemkami, one nas prowadziły. Takie... było takie nieduże wzgórze i tam jakiś domek, nie był domek, tylko widziałam, że coś tam było budowane. I tam robotnicy stali, a myśmy dostały taki wózek, na takich rolnikach i tam się ładowało cegły, i pchałyśmy pod górkę, żeby tam te rozładować cegły. I z powrotem tam ten wózek, i znów. To było tak przez ileś tam.

Anna Klimowicz: Ile godzin? Od rana do wieczora?

Zofia Marczenko: Nie, nie do wieczora, tak do południa, czy tak... I takie roboty były właśnie. Później były takie sprzątnięcia tam, tych kibeleków i tak dalej. To w Oświęcimiu, to myśmy były dwa miesiące. Później przewieźli nas do Ravensbrück. W Ravensbrück to były takie domki, właśnie takie nieduże i tam były te koje, te łóżka takie były już piętrowe. Tam były dwa piętra w Ravensbrück.

Anna Klimowicz: A mniej więcej pamięta pani... To tak, czyli to były już... to była zima chyba już, tak?

Zofia Marczenko: No nie, to był sierpień, wrzesień, bo 3 września. Wrzesień, październik i listopad, to były trzy miesiące. Trzy czy cztery.

Anna Klimowicz: Grudzień się zaczynał, prawda?

Zofia Marczenko: Tak.

Anna Klimowicz: To było zimno.

Zofia Marczenko: Oj, to było zimno, zimno było. Tylko w tych pasiakach byłyśmy. A w Ravensbruck, no to też w tych samych pasiakach. I tylko te łóżka były takie... Te domki były takie nieduże.

Anna Klimowicz: Ja tam słyszałam i czytałam, że w Ravensbruck, jak przywożono już dużo kobiet po powstaniu, to też zrobili Niemcy taki namiot, bo się ludzie nie mieścili, nie mieli tyle miejsca. Widziała pani może ten namiot?

Zofia Marczenko: Nie, nie, ja byłam właśnie w tym, w takim budyneczku, taki domek, ale też nie było tam tych okien. Zresztą i tu nie było okien wcale. Tylko drzwi były otwarte i właśnie te koje. I te, właśnie te apele. W Ravensbruck to nie było żadnych... Też się właśnie tam myło czy sprzątało coś, wie pani, to raczej... Ale w Ravensbruck to byłam nie tak długo, później nas przewieźli... Może miesiąc byłam, może trochę dłużej, tak nie pamiętam. A później nas wywieźli do Meuselwitz to jest koło Buchenwaldu. Do takiej fabryki amunicji. I tam był blok olbrzymi i tam były trzy piętra tych łóżek. Tam miałyśmy koce. Były na tych... Były takie te... tekstura była, można powiedzieć, tekstura leżała na tych deskach. I te koce miałyśmy, takie szare te koce.

Anna Klimowicz: Z wszami.

Zofia Marczenko: I były... Ale tam tam były już bombardowania, w tym Meuselwitz to były bombardowania.

Anna Klimowicz: No tak, bo to już się ten front zbliżał pewnie.

Zofia Marczenko: Oj tak. Ale tam były straszne bombardowania. I myśmy pracowały w tej fabryce na dzień i na noc, na dwie zmiany. I pamiętam taki dzień, ja byłam wtedy chora, gorączkę miałam, bardzo dużą gorączkę. I pytam... tam był taki ten pawilon, tam były te siostry. I dostałam zastrzyk, ale taki dostałam zastrzyk koński, że mi od razu przeszło. Zresztą, ja zostałam wtedy na bloku, bo nie mogłam się ruszać i one wróciły z fabryki. Proszę sobie wyobrazić, zaczął się alarm. Taki przeraźliwy ten alarm i Niemcy, te Niemki kazały nam wziąć koce na siebie i otworzyli bramę do lasu, bo tam obok był właśnie ten las, do lasu i żeby się okryć kocami. I wszystkie weszłyśmy tam do tego lasu i dopiero się zaczęła rąbanina straszna, bo to alianci chyba byli właśnie i myśleli, że to są Niemcy, bo w tych szarych kocach. I tam bardzo dużo kobiet zginęło w tym lesie, bardzo dużo, na moich oczach. I ja może dzięki siostrze, to ja żyję, bo ja tak odleciałam pod inne drzewo. Ona mówi: „Chodź tutaj do mnie”. Nie wiem, wyczuła, czy coś tego. I tam później ta bomba wpadła. Ale na moich oczach, tam była kobieta ze swoją córką, ona była, 16 lat miała ta córka, ta mama była starsza. I ta mama była zabita przez bombę. Tak że tam była straszna rzeź. I to było najgorsze właśnie te bombardowania tam. I w tej fabryce amunicji, to miałyśmy taką pracę stojącą. Tam robiłyśmy takie pociski. To trzeba było tak trafić, taką dziurkę robić czy coś takiego i oni sprawdzali, jak to przelatywało, to już był szmelc. I tak właśnie na dwie zmiany robiłyśmy. I co ja chciałam powiedzieć... To długo trwało właśnie, ale tam było bardzo zimno, też były te apele nieraz. Tam marzyłyśmy bardzo. A, nie, bo w Ravensbruck dostałyśmy ubrania, te pasiaki się zostawiało, a tam każdy dostał co innego, takie jakieś ciuchy dosłownie. Tak, córka dostała taką... nie córka, siostra dostała nawet tą przyzwoitą taką spódnicę i tam jakąś bluzkę, a ja dostałam jakąś przezroczystą, coś okropnego podobno, ja miałam okropne to ubranie. I jakieś tam buty, też tam jakieś, ale to bez pończoch wszystko. I w tym właśnie się urzędowało, w tych ciuchach.

Anna Klimowicz: W zimie.

Zofia Marczenko: Tak, zimą, właśnie.

Anna Klimowicz: I co, właśnie tylko ta przezroczysta sukienka?

Zofia Marczenko: Tak, no taka była właśnie...

Anna Klimowicz: Buty bez pończoch i tak całą zimę?

Zofia Marczenko: Tak, tak.

Anna Klimowicz: Po dworze też, tak?

Zofia Marczenko: No tak.

Anna Klimowicz: Bo trzeba było przejść.

Zofia Marczenko: Nie było żadnych tam sweterków czy czegoś tam.

Anna Klimowicz: No właśnie, szalik, czapka?

Zofia Marczenko: Nie.

Anna Klimowicz: Nic.

Zofia Marczenko: To już w ogóle, nie, nie. Wyglądałyśmy okropnie. No, na plecach to były zawsze, te takie...

Anna Klimowicz: Krzyże.

Zofia Marczenko: Właśnie, czarne, tak.

Anna Klimowicz: Ile godzin ta praca trwała codziennie?

Zofia Marczenko: Od rana do drugiej czy do trzeciej, ale to było rano, ciemno zawsze się chodziło, a później wieczorem, to po obiedzie, też całą noc.

Anna Klimowicz: Jak w ogóle można było wytrzymać taką pracę bez jedzenia?

Zofia Marczenko: Tak, wie pani...

Anna Klimowicz: Bez w zasadzie...

Zofia Marczenko: Bez odpoczynku.

Anna Klimowicz: Bez odpoczynku.

Zofia Marczenko: Cały czas stojąca, nie wiem, jak my to wytrzymały, ale jakoś... Bo ja pamiętam, człowiek zawsze o czymś myślał przy tej pracy. Ja tylko myślałam... Nie to, żeby... bo nieraz tak sobie my o czymś mówiły, że ja bym się najadła tych kartofli czy chleba. A ja pamiętam, myślałam, żeby tylko do domu się dostać, żeby się wykąpać, żeby się ubrać, tak myślałam o tym. Były takie różne niespodzianki, właśnie te choroby, to wszystko. Jak były święta, Boże Narodzenie i wtedy był też alarm. Te alarmy to były te... ale to siedziałyśmy już wtedy na tych pryczach i tylko te błyski było widać, te światła takie migające były. I później, jak już się zbliżał ten koniec wojny, oni wyczuwali, bo jakiś, to dwa tygodnie jakoś, wyprowadzili z tego obozu, a wtedy nic nie miałyśmy ze sobą. I prowadzili nas dzień w dzień, byli Niemcy z karabinami i było pełno tych Niemek.

Anna Klimowicz: To jaki już miesiąc był?

Zofia Marczenko: No było, w maju było to zakończenie, to był kwiecień.

Anna Klimowicz: A na dworze jak było wtedy?

Zofia Marczenko: Zimno było.

Anna Klimowicz: Zimno jeszcze?

Zofia Marczenko: Tak.

Anna Klimowicz: A śnieg leżał?

Zofia Marczenko: Nie.

Anna Klimowicz: Już stopniał?

Zofia Marczenko: Tak, nie było śniegu. W ogóle tam nie widziałam śniegu, żeby śnieg padał czy nie, nawet w tych Meuselwitz, nie. I był taki marsz. Codziennie maszerowało się, to chyba około 30 kilometrów codziennie. I każda Niemka miała jakąś torbę ze sobą, jakieś teczki takie czarne. I te Niemcy, mężczyźni, szli z tymi karabinami i każdego

dnia ubywało tych Niemek. Myśmy się... tak myśmy, gdzie nas zaprowadzą, nie wiadomo, gdzie. I pamiętam taką miejscowość w Niemczech, Halle. Jest taka miejscowość, Halle, prawda? Ja sprawdzałam na mapie kiedyś. I tam był taki... No, zatrzymaliśmy się, żeby odpocząć pewnie, czy coś takiego. I samoloty nadlatywały. Był taki, właśnie ja już taka byłam, bałam się tych samolotów. Jak usłyszałam właśnie taki ten głos samolotu i tam budka stała, któryś sobie stanął ten Niemiec z karabinem. Ja się zerwałam z tego tłumu i poleciałam do tej budki, pani wie, schowałam się, no nie wiem, już po prostu głowa nie myślała, co robię, tak bezwiednie, bałam się tych samolotów, tego warkotu. I ten Niemiec mnie nie wyrzucił. Ja nie wiem, tak wszystkich zostawiłam, a tam sama stanęłam. Później, jak te samoloty już odleciały, to wyszłam. I później znów ten marsz. Tak dzień w dzień. Aż w końcu doszliśmy do... pod Pragę czeską. Pod Pragę czeską i tam była taka polana, była woda, jakaś rzeczka pływała, płynęła czy coś takiego. I tam... Ostatni Niemiec z nami szedł jeszcze. I później za chwilę patrzymy, że nie ma tego Niemca z nami. I tak każda się rozeszła, bo to trawka była, to skubnęły, jadły tę trawkę, wie pani. I patrzymy, że nie ma Niemca, tak siedzimy. Aż w końcu ktoś przyszedł i mówi, że jest... To chyba było właśnie... No tak, ktoś tam z Czechów, że jesteśmy wolne. No tak, to usłyszałyśmy, że po prostu nie wiedziałyśmy, co się dzieje, co mamy robić. A niedaleko był obóz włoski, więc tam ci Włosi przyszedli i nas zapraszali na zupę, że grochówkę gotują czy coś takiego. Ale ktoś się znalazł, powiedział, że nie wolno, tak. I wtedy pamiętam, że się zatrzymaliśmy, już na noc zostaliśmy tam. I tam przy drodze były takie budki, takie... pewnie strażacy tam przebywali czy coś takiego, były puste, a tam, po tamtej stronie ci Rosjanie zajęli właśnie tę część Czechosłowacji. I myśmy na noc, właśnie sześć nas było w tym, w tym. Każda się chowała do tego domku i dobrze, że były zamknięcia, bo przez noc się słyszało, jak stukali, dobijali się tam Rosjanie do tych budek, ale nikt nie otwierał szczęśliwie. A później się znalazł Czerwony Krzyż i z Ostrawy Morawskiej. I teraz pociągiem podjechałyśmy do Ostrawy Morawskiej i tam było tak jakby szpital czy coś takiego, tam były łóżka, biała pościel była. No i tam nas wykąпали, ubranie. I tam przez dwa tygodnie byłyśmy w tym, nas badali i taki odpoczynek był.

Anna Klimowicz: A czym karmili?

Zofia Marczenko: Proszę?

Anna Klimowicz: A czym karmili?

Zofia Marczenko: No to było coś, jedzenie było, tak, już gotowane było. I te łóżka, normalne łóżka z pościelą. I to tak ze dwa tygodnie. Ale później już do domu wracałyśmy.

Anna Klimowicz: Jak wracaliście?

Zofia Marczenko: No właśnie, to już tam wiedziałyśmy, że do Warszawy można jechać. Tylko też takim jakimś, to były towarowe pociągi. Już tam... Ten Czerwony Krzyż się dowiedział i nam mówili właśnie, jak, kiedy jechać. Wiedziałyśmy, że rodzice, jeżeli wyjdą z Warszawy, to będą w Częstochowie, bo tam była rodzina. I... A że po... jak się powstanie skończy, to się znajdziemy w Warszawie właśnie, że wrócą do Warszawy, tylko nasz dom, to był wypalony, nie było gdzie wrócić. Na Starym Mieście wszystkie były domy wypalone.

Anna Klimowicz: Zniszczone całkowicie.

Zofia Marczenko: Tak, a na Krakowskim Przedmieściu, tam był ktoś z rodziny, mieszkał kiedyś i że w razie czego, to jeżeli coś będzie, to tam się mamy spotkać. No i tam zaszliśmy, ale jak po tych gruzach, to że z tą siostrą właśnie jakoś tak trafiłyśmy po tych gruzach, to szliśmy do tego miejsca i tam byli rodzice właśnie. No to już można sobie wyobrazić.

Anna Klimowicz: Szczęście.

Zofia Marczenko: Tak.

Anna Klimowicz: I co później, jak na tych gruzach poszukaliście coś, jakś nie wiem, gdzie schronienie można było znaleźć?

Zofia Marczenko: No tak, to było takie... to była taka prowizorka, tak że wszyscy się jakoś pozbierali, musieliśmy pracować, żeby jakieś mieszkanie, tak że pamiętam...

Anna Klimowicz: Bo to później, to jesień była już, tak?

Zofia Marczenko: Proszę?

Anna Klimowicz: Jesień, kolejna zima, to trzeba było gdzieś się schować, nie?

Zofia Marczenko: Myśmy wrócili, bo to było... Koniec był 8 maja, a wróciliśmy do Warszawy na Boże Ciało w czerwcu. Nie pamiętam którego dnia było to Boże Ciało, no, w czerwcu w każdym bądź razie. Bo pamiętam, jak była procesja. Procesja była w 1945 roku, to Świętego Krzyża, tamten... Pan Jezus właśnie z tym krzyżem, to był strącony, ten kościół był też zrujnowany, ale tam była właśnie ta... ołtarz był i tam się właśnie... była ta procesja, procesja taka w tych, można sobie wyobrazić. To pamiętam ten dzień. I później jakoś tak się... każdy musiał znaleźć pracę, żeby zarabiać, żeby mieszkanie jakieś.

Anna Klimowicz: Ale jak w takim zburzonym mieście można było jakąś pracę, przy czym?

Zofia Marczenko: Były biura różne. Na przykład była księgarnia, Nasza Księgarnia na Słowikowskiego.

Anna Klimowicz: Boże, jak wszystko takie jest zniszczone, to ja sobie tego nawet nie mogę wyobrazić.

Zofia Marczenko: No tak. Ale w 1944 roku było to powstanie, a w 1945 roku myśmy wrócili, a rodzice po powstaniu, to już wrócili do Warszawy i tam jakoś się urządzili, już wtedy było jakieś tam życie takie. Takie nie całkowite, ale było jakieś życie. Więc trzeba było się pozbierać i szukać jakiejś pracy, jakiejś... No ciężko, no można sobie wyobrazić

było ciężkie życie.

Anna Klimowicz: No, bardzo.

Zofia Marczenko: Tak.

Anna Klimowicz: A w tych właśnie, jak znaleźliście jakieś lokum.

Zofia Marczenko: No te lokum i tam parę osób mieszkało w tym lokum.

Anna Klimowicz: Ale to było pod gruzami czy w jakimś ocalałym budynku?

Zofia Marczenko: Nie, nie. Ocalały, ocalały.

Anna Klimowicz: I wodę na przykład skąd braliście.

Zofia Marczenko: Tak, tak, była woda wtedy.

Anna Klimowicz: Wtedy była?

Zofia Marczenko: Tak, tak, tak.

Anna Klimowicz: Wtedy zaczęły działać te wodociągi?

Zofia Marczenko: Tak.

Anna Klimowicz: Czyli już normalnie można było kran odkręcić...

Zofia Marczenko: Tak, tak, tak.

Anna Klimowicz: A na czym się gotowało?

Zofia Marczenko: No, coś tam było, były jakieś...

Anna Klimowicz: Ale pod kuchnią się paliło tak, czy był gaz?

Zofia Marczenko: Nie.

Anna Klimowicz: Nie było? Czyli się paliło tak pod płytą?

Zofia Marczenko: Tak, no, nie było gazu wtedy. Wtedy nie było gazu.

Anna Klimowicz: I się szukało gdzieś drewna, tak?

Zofia Marczenko: Tak.

Anna Klimowicz: A w tych właśnie, no to ludzie w tych takich montowali sobie jakieś piecyki, kozy czy nie wiem?

Zofia Marczenko: Tak, tak, tak, o, kozy takie z rurą.

Anna Klimowicz: O, i na tym można było postawić garnek i coś sobie ugotować.

Zofia Marczenko: Tak.

Anna Klimowicz: A skąd się brało takie rzeczy, które były potrzebne, jak ktoś nic nie miał, wrócił i nie miał, nie wiem, miednicę, talerza?

Zofia Marczenko: Wie pani, to...

Anna Klimowicz: Garnka, nie wiem...

Zofia Marczenko: Od razu to na pewno nie było wszystkiego po powstaniu, ale rodzice, jak przyjechali tam z tej... no nie wiem, jak tam, w każdym bądź razie ze sobą coś tam przywieźli, to ludzie jakoś zdobywali, dosłownie zdobywali różne rzeczy.

Anna Klimowicz: Niesamowicie.

Zofia Marczenko: Można sobie wyobrazić, że było ciężko.

Anna Klimowicz: Gorzej niż ciężko, to jest...

Zofia Marczenko: O tak.

Anna Klimowicz: Makabra.

Zofia Marczenko: Makabra. Tak, tak. Najgorsze właśnie to te... Ja do dzisiaj to... jak czuję, że samolot leci, to dostaję dreszczy, bo przecież w powstaniu to się spod gruzu uciekało, byliśmy w jednej piwnicy, co właśnie były takie pociski i w sam raz ta ściana łączyła się z piwnicą. I jak wpadł taki pocisk, to ten gruz zaczął się sypać i był z nami wujek

jeden. I ten gruz na twarz się... no, u niego mieścił, to miał tak podziabaną całą twarz z tym gruzem takim, czarną i on też właśnie był w powstaniu i dostał się do obozu. Mojej siostry mąż był też, dostał się do Dachau, tam pracowali w kamieniołomach, to wszyscy zginęli.

Anna Klimowicz: Kto z pani rodziny, oprócz pani, właśnie i rodziców się uratował po wojnie, kto się znalazł?

Zofia Marczenko: No, siostry.

Anna Klimowicz: Wszystkie siostry?

Zofia Marczenko: Tak.

Anna Klimowicz: A dzieci?

Zofia Marczenko: Dzieci też.

Anna Klimowicz: Też.

Zofia Marczenko: Tak.

Anna Klimowicz: Udało się?

Zofia Marczenko: Tak, i to właśnie ten 2-letni, ale on chorował długo na żołądek później i w ogóle był taki, już nie żyje.

Głos: Pani miała 18 lat, jak trafiła pani do obozu?

Zofia Marczenko: Tak.

Głos: Takie moje pytanie, tak ja teraz myślę, jak szkoła podczas...

Zofia Marczenko: Okupacji?

Głos: Okupacji, szkoła i później, czy pani jakoś... Przerwała pani edukację pewnie...

Zofia Marczenko: Nie, skończyłam liceum, maturę miałam, tak. Maturę to się właśnie po tym. Starłam się o papiery, bo była nauczycielka w sam raz i był... Tam było zorganizowane właśnie i każdy szedł i dostał ten dowód, że się chodziło do szkoły i... Wtedy to było cztery lata gimnazjum i dwa lata liceum.

Głos: Podczas okupacji... bo pani podczas okupacji kończyła szkołę, tak?

Zofia Marczenko: Tak.

Głos: To te zajęcia były w takich prywatnych mieszkaniach, prawda?

Zofia Marczenko: Nie prywatnych, to była szkoła.

Głos: Szkoła była?

Zofia Marczenko: Tak, tak. I pamiętam właśnie... No, szkoła była, ten lokal był wynajęty do...

Anna Klimowicz: Ale to była szkoła zawodowa?

Zofia Marczenko: Handlowa.

Anna Klimowicz: Handlowa. Bo wiem, że Niemcy zezwalali jedynie na takie zawodowe szkoły, prawda?

Zofia Marczenko: Tak. Ale pamiętam, nauczycieli to miałam bardzo dobrych. Polonistka to była bardzo dobra, naprawdę. Dzięki niej to... ten język polski, to mam dobrze opanowany, ja nie robię błędów. I matematyka była dobra, pamiętam.

Anna Klimowicz: A pamięta pani ich nazwiska może?

Zofia Marczenko: Nie pamiętam nazwiska. Ale pamiętam tę nauczycielkę od polskiego i tego dyrektora, on kazał na siebie mówić „pan dyrektor”. Ale był rzeczywiście, ten matematyk, dobry był matematyk, taki starszy pan.

Anna Klimowicz: A przy jakiej ulicy to było?

Zofia Marczenko: Na Kilińskiego.

Anna Klimowicz: Na Kilińskiego?

Zofia Marczenko: Tak, a na Królewskiej było liceum później. Właśnie przez Ogród Saski, to często przechodziłam tam do tej szkoły. Ale człowiek pod strachem chodził, bo to...

Anna Klimowicz: A czy była pani świadkiem jakiś wtedy w Warszawie, jeszcze przed powstaniem, jakiś właśnie takich drastycznych wydarzeń?

Zofia Marczenko: No, co w Alejach Ujazdowskich zastrzelili tego... No, zapomniałam już.

Anna Klimowicz: Ale Niemca czy Polaka?

Zofia Marczenko: Niemca. Oj, to wtedy było.

Anna Klimowicz: Ale to zamach na Kuczera?

Zofia Marczenko: Tak, tak. To ja mieszkalam właśnie na Świętojańskiej.

Anna Klimowicz: Widziała pani to?

Zofia Marczenko: Nie, nie widziałam, nie widziałam, ale to już się rozniosło i każdy tylko się chował i w ogóle wtedy to były straszne łapanki i rozstrzeliwania właśnie ludzi.

Anna Klimowicz: A tak, takie codziennie życie w czasie okupacji, to właściwie czym się pani zajmowała?

Zofia Marczenko: No, do szkoły...

Anna Klimowicz: Oprócz chodzenia do szkoły. A skąd braliście właśnie coś do jedzenia, rodzice pracowali wtedy?

Zofia Marczenko: Tak. Mama nie pracowała. Ale do jedzenia, no to były sklepy. Moja mama właśnie i to raniutko wyjeżdżała gdzieś tam pod Warszawę, żeby przywieźć właśnie coś, i mięsa, i coś tego... To pamiętam, tam z jakąś taką sąsiadką. Wiedziały gdzie i to tak z samego rana, tak, i pociągami tam dojeżdżały. I właśnie upychały, gdzie można było. To tak było, tak.

Anna Klimowicz: A później...

Zofia Marczenko: O, właśnie, jak moja mama... No, trudno było z jedzeniem, bo na przykład nigdy tego później nie jadłam, ale robiła... tarte kartofle były, takie foremki do ciasta i te kartofle pewnie z czymś takie tarte i taki placek. Taki placek, to był bardzo dobry ten placek, ja pamiętam. No tak, nie było tak wszystkiego. Tak, tak. Tak że mama kombinowała, żeby coś tam, zawsze coś zrobić. Ale ten placek, to mi rzeczywiście... O, później ten, ciasto makowe, nie makowe, marchewkowe. Marchewkowe, tak. Takie rzeczy, tak. Tak, to nie było tak normalnie właśnie z tym jedzeniem. Głos: A teraz jak tak pani, może jakiś czas temu, wychodziła, żeby zobaczyć mniej więcej Stare Miasto i... strasznie się zmieniło tak miasto, tak jak pani pamięta to miasto przed wojną jeszcze, to się strasznie zmieniło, czy...

Zofia Marczenko: Zmieniło się, jest tak Krakowskie, Nowy Świat, te sklepy przede wszystkim.

Anna Klimowicz: No tak, te sklepy są już inne.

Zofia Marczenko: Tak, zupełnie inne. Ale bardzo lubiłam chodzić i to bardzo często chodziłam, tak dojeżdżałam do Krakowskiego Przedmieścia, do Nowego Świata i Nowym Światem do Krakowskiego i później... i Stare Miasto. Aż tam do Nowego Miasta dochodziłam i to... później, jak byłam mężatką, też z mężem stale chodziliśmy na Stare Miasto.

Anna Klimowicz: Ale to... A kiedy... Można tak z ciekawości się zapytać, kiedy pani za mąż wyszła?

Zofia Marczenko: W 1953 roku. Nie, w 1952 roku, a córka się urodziła 1953 roku. Na Tamce brałam ślub.

Anna Klimowicz: A gdzie się poznaliście z mężem?

Zofia Marczenko: Wtedy mąż już był po studiach. Mąż już był po studiach i znam jego kolegę, tak się spotykaliśmy, a kolega znów tego, mojego męża i tak, taka była paczka. I właśnie, o. Ale jak później urodziła się córka, a mój mąż... o, pamiętam, pierwszy... ja pracowałam, później przestałam pracować, jak się córka urodziła i zaczęłam pisać na maszynie. To mojemu mężowi przepisywałam, robił pracę doktorską i ja mu to wszystko przepisywałam na maszynie. Moja córeczka na tapczanie leżała, ja ją obstawiałam poduszeczkami i tak na stole stała maszyna, taka z wątkiem. Tak i właśnie... Później to się zaczęło stale, bo mój mąż był naukowcem, stale te prace swoje pisał, pisał, pisał, a ja z nim. Tak, a później drugie dziecko się urodziło. „Mama kiedy skończysz? Mama...”. A ja na tej maszynie wystukiwałam. A to była maszyna taka, ta taśma się rwała, trzeba było zakładać, ręce brudzić. No, ale jakoś tam...

Anna Klimowicz: Pamiętam takie maszyny, bo to już później nawet dużo potem, to też się pisało na maszynie.

Zofia Marczenko: Tak i liczydła były.

Anna Klimowicz: To liczydła pamiętam u mojego dziadka.

Zofia Marczenko: Tak. Później maszyny do liczenia na taką korbkę. Ale...

Anna Klimowicz: No tak, nie było komputerów i wszystko trzeba było ręcznie robić.

Zofia Marczenko: No nie. Tak, tak, tak. I te kalki podkładać pod papiery. To było okropne.

Głos: My się już przyzwyczailiśmy do...

Zofia Marczenko: A teraz właśnie. Teraz jak ktoś pisze, no to na tym komputerze, prawda, piszą i...

Anna Klimowicz: Tak, to jest teraz bardzo wygodnie.

Zofia Marczenko: A to kalka i te papiery. I ręce wysmarowane tym czarnym.

Anna Klimowicz: A wracając do tamtych właśnie wydarzeń, o których... to co najbardziej jakby pani się przypomina, to co jest takie, co tak trudno, co by chciała pani to wyrzucić?

Zofia Marczenko: O, właśnie te powstanie.

Anna Klimowicz: No, to straszne było.

Zofia Marczenko: I te obozy. Te obozy. I te bomby, które leciały.

Anna Klimowicz: A w tym obozie najgorsze, to... najgorszy to był strach?

Zofia Marczenko: Tak. Tak, ten lęk taki.

Anna Klimowicz: Że nie wiadomo, co człowieka czeka, prawda?

Zofia Marczenko: Tak, tak, tych Niemców. To wszystko takie... I te Niemki stale, żeby szybko, szybko i tak poganiały we wszystkim. Okropne były, co za kobiety, boże. Gdzie one się później rozeszły, to ja nie wiem.

Głos: Pouciekały.

Zofia Marczenko: Tak nas pilnowały, pilnowały, później coraz mniej, coraz mniej.

Anna Klimowicz: One już czuły, że się wojna kończy i...

Zofia Marczenko: Tak i każda... w tej teczuszce miała pewnie ubranie i...

Anna Klimowicz: No pewnie tak.

Zofia Marczenko: Pamiętam właśnie, jak była ta wędrówka z tego obozu, przechodziłyśmy koło tego lasu wielkiego. I tak mówimy, jest tak mniej tych Niemek i tak nas mniej pilnują, że uciekniemy może i odbiliśmy się trochę, weszłyśmy do tego lasu, a to był taki bór i patrzymy, a tu idzie tych dwóch Niemców takich tych... hitlerjugend. Wie pani takich, takich właśnie...

Anna Klimowicz: Ale w jakich mundurach?

Zofia Marczenko: Tych zielonym mundurach, tacy młodzi.

Anna Klimowicz: To tak, hitlerjugend.

Zofia Marczenko: Tak. Jak zobaczyłyśmy, to się wróciłyśmy i całe szczęście, bo gdzie byśmy chodziły po tym lesie takim ciemnym. To pamiętam ten las. Grube drzewa i tak ciemno w nim było. I tych Niemców.

Anna Klimowicz: A oni was zauważyli? Nie.

Zofia Marczenko: Może i zauważyli, ale wiedzieli, co się dzieje i pewnie... W każdym bądź razie to było tak niedaleko.

Anna Klimowicz: A tak, czy jakąś pani miała tam... Jakie były takie odnoszenie się do siebie wśród tych kobiet, które musiały po prostu tam...

Zofia Marczenko: Byłyśmy żyte, byłyśmy żyte bardzo, bardzo. Jedna drugiej pomagała.

Anna Klimowicz: Jak traktowali was... Was ktoś pilnował w tej fabryce?

Zofia Marczenko: Oczywiście.

Anna Klimowicz: Oczywiście, tak? To był jakiś majster czy strażnicy?

Zofia Marczenko: Oj tak, był majster, taki majster chodził, tak. A to nie jeden był. Dużo było tych stanowisk właśnie.

Anna Klimowicz: I popędzał, tak?

Zofia Marczenko: Nie, on nie popędzał. Mi się wydaje, że ten właśnie, co koło nas był, ten majster, to on musiał być, nie był takim rodowitym Niemcem, tak mi się zdaje, wie pani. Tak, bo on był jakiś taki, taki... Taki spokojny był. W każdym bądź razie to było straszne. Najgorzej, jak Niemcy przyszli sprawdzać.

Anna Klimowicz: I co potem?

Zofia Marczenko: No to sprawdzali i... I ja byłam przy jednym stanowisku, a siostra była przy drugim. W sam raz podszedł do niej i sprawdzał, a tamten pocisk coś tam nie...

Anna Klimowicz: Przeleciał.

Zofia Marczenko: Tak. Boże, jak on się wydzierał. Że ja wytrzymałam tam, wie pani, to napięcie, to ja nie wiem, to był cud, bo on tak długo się wydzierał na nią, że ja myślałam, że albo ją pobije, albo ja do niego dojdę i go... Mówię pani. Ten właśnie majster tak patrzył na mnie i na tego Niemca, bo on widział, że coś się będzie działo, ale jakoś przetrzymałam. Myślałam, że ją naprawdę, że ją tam zabije. Tak że to... są takie...

Głos: A czy pani utrzymała kontakt z jakimiś osobami, z którymi była pani w obozach, z jakimiś kobietami?

Zofia Marczenko: Z jedną tak, a później już się to... każda w swoją stronę.

Głos: Jeszcze tak a propos tych obozów, miała pani taką sytuację, że po prostu była pani pobita przez którąś auzjerkę albo...

Zofia Marczenko: Czy byłam pobita?

Głos: Tak.

Zofia Marczenko: Nie.

Anna Klimowicz: Za co one tak biły?

Zofia Marczenko: Na przykład był apel i trzeba było się stawić na plac wszystkie i jakaś tam nie przyszła, no to Niemiec tam kazał szukać, to było w Oświęcimiu właśnie. I wtedy się znalazła, ona później doszła. To Niemiec ją wywołał i dostała tam lanie od niego. To pamiętam, to wszystkie się trzęsły.

Anna Klimowicz: Ale jak?

Zofia Marczenko: Bił ją czymś, już nie pamiętam...

Anna Klimowicz: Ale czymś, tak?

Zofia Marczenko: Tak, tak.

Anna Klimowicz: Miał jakiś...

Zofia Marczenko: No tak, coś tam... Pamiętam tylko, że było takie zdarzenie. Ci Niemcy tacy wszyscy wyszywnieni w tych, tych... na tych apelach. A była z nami właśnie taka młoda dziewczyna, no bo trochę może starsza ode mnie, w każdym bądź razie ona dobrze знаła niemiecki, że miała kontakt z tymi, mogła się porozumieć z Niemcami. I ona była tą, tą taką... na nasz ten... na naszą grupę...

Anna Klimowicz: Blokową.

Zofia Marczenko: Tak, tak. I ona zdawała sprawozdanie. Wiem, że był... już tak pod koniec właśnie, jak wyprowadzali nas z tego obozu, to tam ten Niemiec takie pogłoski były, że chciał ją zatrzymać, żeby ona z nim pojechała, ale ona wróciła z nami. No nie daj Boże, żebyście miały doczekać... tych rozróbek, tych...

Anna Klimowicz: No, jakiegokolwiek wojny.

Zofia Marczenko: Jakiegokolwiek wojny. Tych nalotów, Boże, tego... To jest coś okropnego te naloty. I te pociski bez przerwy, jakieś strzały, jakieś coś. Jak puszczają te fajerwerki, ja nie znoszę tego. Nigdy nie patrzę w niebo, to już zostało we mnie.